

Sztuka życia według Anny Dymnej

Zagrała w ponad pięćdziesięciu filmach, ma na swoim koncie dziesiątki ról teatralnych. "Wybujała kobiecość" - mówią o niej jedni, "dziewczęca subtelność" - powiadają inni. Spotkana na ulicy zadziwiała brakiem szminki na twarzy i pewnością siebie, którą dają sukcesy. Do tego biega po zakupy, sama gotuje, sprząta i wykonuje liczne domowe prace. Nie chodzi do fryzjerów ani kosmetyczek, a mimo to uważana jest za jedną z najpiękniejszych aktorek.

Pokochoać potwora

- Dziwię się - powiedziała przed kilkoma laty Anna Dymna - że pisze się o mnie jako o najpiękniejszej aktorce, bo uważam, że jestem przeciętna: nos zadarty, oczy skośnie po pradziadku Tata-rze. Ale uroda to nie tylko rysy twarzy, piękne oczy czy kształtny nos. To także coś, co tkwi znacznie głębiej i dodaje oczom blasku, a twarzy nadaje szlachetny wyraz. Wie o tym również Anna Dymna.

Gwiazdą czuła się tylko raz,

w Japonii, dokąd wybrała się na premierę filmu "Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny" w reżyserii Janusza Majewskiego. Zajeżdżały wtedy po nią eleganckie limuzyny, a Japończycy przysyłali kwiaty i gięli się w ukłonach, prawie na kolanach prosząc o autografy. Czar prysł już na warszawskim lotnisku. - Gdzieś się zagubił autobus - opowiadała wtedy aktorka. - Uciekł mi samolot do Krakowa. Musiałam jechać pociągiem i kiedy wieczorem wysiadłam na buriem, ciemnym dworcu i wdrapałam się na mój strych, pomyślałam sobie, że gdybym o tym, co się działo w Japonii opowiedziała, nikt by mi nie uwierzył...

Anna Dymna do celuloidowego świata trafiła bardzo szybko. Jej pierwsze chwile w szkole teatralnej niemal zbiegają się ze scenicznym, a wkrótce potem filmowym debiutem. Chociaż wcale nie myślała o aktorskiej karierze. W szkole marzyła o psychologii klinicznej i, co więcej, zdążyła nawet złożyć dokumenty na Uniwersytet Jagielloński. - Ani przez myśl mi nie przechodziło - opowiadała - bym mogła grać na scenie. Byłam z natury bardzo nieśmiała i publiczne występowanie było wprost nie do pomyslenia. Do wystąpienia przed komisją egzaminacyjną namówił Annę, wtedy jeszcze Dziadyk - tak bowiem brzmi jej panięskie nazwisko - Jan Niwiński, aktor-społecznik, który mieszkał w tej samej kamienicy.

Kariera Anny potoczyła się w iście zawrotnym tempie. Już na pierwszym roku Szkoły Teatralnej otrzymała propozycję zagrania roli wnuczki Pawłaka w filmie Syl-

westra Chęcińskiego "Sami swoi", który wraz z dwiema innymi częściami przyniósł młodziutkiej aktorce ogromną popularność. - Zrozumiałam wtedy - wspomina - że trafiłam na "swoją" życiową drogę. A "dziadzio" Hańcza stał się moim wielkim pierwszym teatralnym przyjacielem.

Jako 17-latką zagrała także w teatrze. Lidia Zamkow, realizująca dla uczczenia stulecia urodzin Stanisława Wyspiańskiego "Wesele", obsadziła Annę w podwójnej roli - Isi oraz Chochola. Pod koniec drugiego roku Annę Dziadyk można było oglądać na scenie Starego Teatru - z którym jest związana do dziś - jako Kasię w "Karolu Mięsopuszcie". Potem poszło jak z płatka. Rola gonila rolę, a teatr przepłatał się z filmem. Jednak sama aktorka bardzo krytycznie ocenia dziś swoją grę: - Gdy byłam młodszą, grałam jak zwierzątko. Kazano mi się śmiać, to się śmiałam, płakać - płakałam, być poważną - to nią byłam.

Reżyserzy filmowi obsadzali ją wtedy według jednego klucza: ładnej, milej, nie skażonej myśleniem panią. Znacznie więcej szczęścia miała w teatrze, gdzie od początku przyszło jej pracować ze znakomitymi reżyserami - Konradem Swinarskim, Andrzejem Wajdą, Jerzym Jarockim. Szczególnie wiele sobie obiecywała po współpracy ze Swinarskim, który po rolce w słynnych "Dziadach" zaproponował aktorce rolę Ofelii w "Hamlecie". Niestety, z powodu tragicznej śmierci reżysera nigdy do tego nie doszło.

Przełom nastąpił w 1970 roku, kiedy zdecydowała się zagrać w filmie reżyserowanym przez Henryka Kluba według scenariusza Wiesława Dymnego. Film nosił tytuł "Pięć i pół Białego Józka" i nigdy nie wszedł na ekrany. Anna straciła wówczas rok studiów, ale została znacznie więcej.

Miłość jej życia

"Dymny to była moja pierwsza wielka miłość - pisze o swoim zmarłym przedwczesnie mężu, legendzie "Piwnicy pod Baranami", plastyku, poecie i pisarzu w programie do spektaklu "Dymny",

wystawionego przez zespół warszawskiego Teatru Ateneum, do którego to spektaklu wraz z Maciejem Wojtyzsko napisała scenariusz. - Byłam wówczas studentką drugiego roku. Zdjęcia kręciliśmy w Łącku, koło Plocka, w pałacu Rydza-Smigłego, zimą. Okoliczności poznania były mało sympa-

tyczne. Na którąś tam sobotę i niedzielę postanowiono przerwać zdjęcia, ekipa rozjechała się do domów. A ja, ponieważ źle się czułam, nie chciałam wracać do Krakowa i zostałam w łóżku. Ale spać mi nie dawali dwaj podpici mężczyźni, którzy grał pod moimi drzwiami w ping-ponga, klnąc i wrzeszcząc. To był Wiesiek Dymny i Jurek Cnota. Myślałam, że zwariuję. Aż w pewnym momencie wychyliłam się z pokoju i poprosiłam: "Panowie, przestańcie, bo tak mnie strasznie boli głowa". (...) Otóż ci dwaj wtargnęli do mnie i zaczęli kłąć jak szewcy. Zareago-wałam jak cnotliwa panią i trzasnęłam Dymnego w twarz. A on mi oddał i wyszedł.

Wróciłam do Krakowa z podbitym okiem, a po paru dniach - znów jechałam na pian. W Kutnie miałam przesiadkę. Patrę, a ten potwór stoi na peronie, z tyłu trzyma goździki i coś mamroce. Jakoś mnie rozczulił, pocałowałam go w policzek. I tak się zaczęło."

Wkrótce dla młodszej od siebie o 15 lat partnerki Dymny stał się przyjacielem, a potem mężem. Miała to być miłość na zawsze. Los sprawił, że stało się inaczej. - Żyłam zaścynowana Wieśkiem - wspomina Anna Dymna. - Robiliśmy wszystko razem. Razem stawialiśmy ściany, zbijaliśmy meble, szyliśmy moje stroje, cieszyliśmy się drobniactwami. Jak w transie - nie spaliśmy całymi nocami, ja czytałam mu na głos książki, on uczył mnie rysować, rzeźbić. Kochaliśmy się i nic więcej nie miało znaczenia."

Świat walił się stopniowo

Zaczął się od mieszkania zrobionego ze strychu, które zostało doszczętnie strawione przez pożar. Niedługo potem nagle zmarł Wiesław Dymny, aktorka zaś uległa poważnemu wypadkowi samochodowemu. Katastrofa wydarzyła się pod Budapesztem, w drodze na plan "Rapsodii węgierskiej" Mikłosa Jansco. Dymna wyładowała w szpitalu z uszkodzonym kręgosłupem i na cały niemal rok została wyłączona z czynnego życia. Pomiędzy jednym a drugim

pobytem w szpitalu kręciła z Jerzym Hoffmanem film "Do krwi ostatniej".

Pechowa dziewczyna

- Bardzo lubię swoich aktorów, ale do Ani mam stosunek wyjątkowy - mówi Jerzy Hoffman, u którego Dymna zagrała aż w czterech filmach. - Po prostu jestem w niej zakochany. To wspaniała aktorka, choć wciąż, jak na swoje możliwości, nie wykorzystana. Jest cudownym człowiekiem i aż nie do wiary, jak pechowym.

z "Mężem i żoną" Fredry na tournée po Ameryce, Kanadzie i Australii.

- Proszę sobie wyobrazić 28 spektakli w ciągu 28 dni, każdy w innym miejscu. Oznaczało to codzienne pakowanie walizek i wyruszanie w upiorną podróż. W tak trudnych warunkach można bardzo dobrze poznać drugiego człowieka. I muszę powiedzieć, że Ania jest jedyną osobą, z którą chciałabym jeszcze raz podróżować. Jest niekonfliktowa, pogodna i pełna zrozumienia. Kiedyś za-



Rzeczywiście, pech prześladował Annę Dymną bez przerwy: przeżyła trzy wypadki samochodowe, nieszczęścia dotyczyły ją także w czasie pracy. Gdy po wyjściu ze szpitala, w 1983 roku, stała na scenicznych deskach, aby zagrać w premierowym przedstawieniu "Orestei", upadek na scenie sprawił, że spektakl zakończył się - ku podziwowi widowni - ze złamanym palcem u ręki. Kolejne wypadki miały miejsce na filmowym planie. Gdy jako Barbara Radziwiłłówna wsiadała do sań w czasie zdjęć do filmu Janusza Majewskiego "Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny", poniosły konie i aktorka uderzyła głową w drzewo. Na scenę koronacyjną przyjechała ze szpitalną przepustką w ortopedycznym kołnierzu...

Żle mogła się także skończyć scena balsamowania zwłok zmarłej królowej. Zaangażowana do niej pielęgnarka tak mocno owinięła Dymną bandażami, że ta straciła przytomność. Wezwany lekarz stwierdził, iż gdyby nie natychmiastowa pomoc, nigdy by już się z omdlenia nie obudziła...

- Po wielu dramatycznych przeżyciach potrafi zachować pogodę i znieść przeciwności, które zsyła jej los. Dla mnie, niezależnie od wieku, Ania pozostała dziewczynką - mówi Anna Seniuk, która przeszła z Anną Dymną "ogniową próbę" przyjaźni, kiedy wyjechały

rtowałam, że to jedyna osoba, z którą... mogłabym się ożenić. Podtrzymuję tę propozycję.

Scena i dom

- Bardzo ważną sprawą dla mnie jest mój zawód i mój dom. Bo to są jak gdyby dwie wartości ustawione na dwóch różnych biegunach - mówi aktorka. - I to jest całe moje życie: praca, która jest niezwykle męcząca i którą bardzo kocham, i dom, w którym odpoczywam, i który też bardzo kocham".

Ale największą radością jej życia jest Michał, siedmioletek, wymarzony syn z drugiego małżeństwa. Mieszka z nim na przytulnym strychu, dzieląc czas pomiędzy dziecko a teatr. - To jedyny mężczyzna - śmieje się Anna Seniuk - o którym Ania może opowiadać godzinami. Jest to jej największa miłość i do tego z wzajemnością.

Kiedy w Teatrze Telewizji oglądaliśmy ostatnio Annę Dymną w sztuce Caldwell "Palec Boży", emanował z niej spokój, łagodność i ciepło. - Nawet gdy się gra potwora, trzeba go pokochoać - powiedziała aktorka w jednym z wywiadów. I zdaje się, że to nie tylko recepta na scenę, ale i na całe życie.

ALEKSANDRA SZARLAT

Fot. CAF